

Lech Zdybel  
(Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej)

**Co jest takiego złego w teorii Darwina?  
O pożytku płynącym z pewnej debaty, albo przyczynek do idei krytycz-  
nego myślenia (w tym o konieczności odróżniania człowieka od zwierzę-  
cia) czyli ostatecznie o tzw. antropologicznej wyobraźni**

*Teorie mijają. Żaba zostaje.*

Jean Rostand

*We must be most critical of the theories  
that we love most.*

*(Musimy być najbardziej krytyczni wo-  
bec teorii, które najmocniej kochamy.)*

Karl Raimund Popper

*Zawsze mają młodości, wymiotują żółcią i  
zwą to gazetą.*

Friedrich Nietzsche

Na początku XX w. Sigmund Freud sformułował tezę, że w czasach nowożytnych ludzkość przeżyła kilka razy wielki szok. Ścisłej mówiąc, nauka nowożytna trzy razy głęboko uraziła ludzką dumę, trzy razy boleśnie uderzyła w nasze samouwielbienie, megalomanię i narcyzm.<sup>1</sup> Pierwszy uczynił to „Kopernik dowodząc, że Ziemia nie znajduje się w centrum wszechświata. Darwin, jako drugi, wykazał, że ludzkość wcale nie jest rasą wybraną, lecz tylko jednym z wielu gatunków zwierząt. Wreszcie jemu samemu, Freudowi, przypadło wykazać, że nie istnieje nic takiego, jak autonomiczna dusza ludzka, lecz że ludzka psychika jest w wielkiej mierze niewolnicą nieświadomych i nie dających się kontrolować sił z pogranicza fizjologii i psychiki”.<sup>2</sup> Tak więc astronomia wytrąciła nas z głębokiego przeświadczenia o za-

<sup>1</sup> Por. K. Obuchowski, *Przedmowa do III wydania w przekładzie polskim*, [w] S. Freud, *Wstęp do psychoanalizy*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1992, s. 18.

<sup>2</sup> A. Chmielewski, *Od Humacza*, [w] S. Žižek, *Przekleństwo fantazji*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2001, s. VII.

mieszkiwaniu przez człowieka wyjątkowego miejsca w Kosmosie, biologia zadała kłam przekonaniu o naszej bytowej nieredukowalności (uznając nas za kolejny, lecz przecież chyba nie ostatni i nie ostateczny etap zwierzęcej ewolucji), wreszcie psychoanaliza zmieniła nasze wyobrażenia o wolności ludzkiej woli oraz autonomii podejmowanych decyzji i życiowych wyborów.

Używając modnego dziś zwrotu można rzec, co następuje: każda z powyższych teorii sprawiła, że po jej ogłoszeniu „nic już nie było takie, jak wcześniej”. Po każdej z tych teorii kultura (przynajmniej kultura Zachodu) przeżyła światopoglądowy wstrząs. Po każdej musieliśmy bowiem rewolucyjnie zmieniać swoje wyobrażenia o świecie i o sobie samych. Po każdej patrzyliśmy na siebie już inaczej. Po każdej szukaliśmy jakiegoś nowego punktu oparcia (skoro stary został zakwestionowany) niezbędnego do samoidentyfikacji. Po każdej potrzebowaliśmy stabilnego punktu odniesienia, na nowo umożliwiającego dostrzeżenie sensu i ładu.

Był to przecież wielki cios dowiedzieć się, że Bóg nie umieścił naszego doczesnego domu w centrum „sfer niebieskich”, lecz posadził Ziemię nieco na uboczu. Toteż długo godziliśmy się z tą nieprzyjemną prawdą. W końcu jednak udało się, bo mieliśmy jeszcze w zanadru tę pewność, że przynajmniej tu, na Ziemi, jesteśmy istotami innymi niż wszystko, co na niej żyje – innymi czyli doskonalszymi. W przekonaniu tym umacniała nas przede wszystkim doktryna chrześcijańska głosząca, że tylko człowiek został stworzony „na podobieństwo Boga”.

Na swój sposób w przekonaniu tym utwierdził nas nie kto inny, tylko jeden z ojców (niektórzy twierdzą, że ojciec największy) nowożytnej nauki, Kartezjusz. To właśnie on założył, iż całość rzeczywistości tworzą tylko dwie substancje. Jedną z nich określił mianem „rzeczy rozciąglej” (*res extensa*), drugą zaś nazwał „rzeczą myślącą” (*res cogitans*). Do świata „rzeczy rozciąglych” należą byty nieożywione, ale też rośliny, zwierzęta i ludzkie ciało. Z kolei nasza jaźń, nasze myślenie (owo słynne *cogito*), czyli nasza dusza, przynależy do świata bytów myślących. Filozofia Kartezjusza sprowokowała fundamentalne dla nowoczesności spory – nie sposób wyobrazić sobie, jaki kształt przybrałaby bez niej dzisiejsza nauka. W interesującej nas kwestii powiedzmy tylko, iż głosiła ona, że istnieją dwie absolutnie odmienne rzeczywistości, którymi rządzą dwie różne zasady: świat rzeczy rozciąglych, to świat praw mechaniki; świat myśli, to świat praw logiki. Człowiek (jako *homo cogitans*) zasadniczo przynależy do świata myśli. Wydawało się, że filozofia kartezjańska ostatecznie wykopała nieprzekraczalną przepaść między człowiekiem a zwierzęciem, co znalazło swój wyraz w określeniu zwierząt mianem automatów, ludzi zaś jako istot postępujących według wskazań woli i rozumu.

Tymczasem, mniej więcej po dwu wiekach, dowiedzieliśmy się, iż myślenie nie jest darem, który otrzymaliśmy jako ludzie właśnie. Nie dzieli nas od zwierząt (którym dane jest tylko „rozciągać się” w przestrzeni) żadna przepaść. Otóż ludzkie myślenie ma również zwierzęce korzenie – pojawiło się w toku ewolucji jako efekt rozwoju władz poznawczych pod wpływem przystosowywania się naszych zwierzęcych przodków do warunków życia, w toku „walki o byt” itp. Jesteśmy więc poniekąd ich najmłodszymi i dlatego najbardziej inteligentnymi braćmi.

Ale i po tym szoku udało się nam odzyskać względną równowagę. Mieliśmy bowiem w odwodzie jeszcze jeden pewnik. Jego wyrazem było następujące przekonanie. Jako dzieci natury podlegamy wprawdzie tym samym determinantom, co zwierzęta. W tym sensie nasze życie jest ostatecznie zależne od praw natury. Lecz w wymiarze życia jednostkowego, w kreowaniu własnego losu, kształtowaniu własnego charakteru, wyborze celów itp., także jako twórcy kultury, jesteśmy panami samych siebie. Źródłem tak pojętej autokreacji jest właśnie nasza świadomość (w tym nasza wola). Jej treści są nam bezpośrednio dostępne: wiemy przecież jakimi kierujemy się intencjami, motywami i celami. W pełni świadomie tworzymy zasady życia społecznego – generalnie, kulturę.

Jak podkreślał Freud, już wcześniej Arthur Schopenhauer zauważył, iż jest inaczej. To nie my mamy wolę, lecz ona rządzi nami, „nie my mamy charakter, lecz charakter ma nas!” – powiadał niemiecki filozof. Ale to koncepcja freudowska ostatecznie uczyniła sferę świadomą naszej psychiki niewolnikiem (czy może raczej zakładnikiem) sfery nieświadomej, owego „ono” (*id*), które jest w istocie zwierzęce. „Ono” nasycone jest przede wszystkim popędami (popędem seksualnym i popędem destrukcji) oraz domaga się realizacji tych popędów według zasady przyjemności. Także kultura z jej wszystkimi przejawami (moralnością, religią, prawem, sztuką, nauką) jest ekspresją tej „ciemnej” sfery naszej psychiki. Tak więc freudyzm odarł nas z kolejnego (pytanie tylko, czy ostatniego?) samozłudzenia, że w pełni (czyli świadomie) panujemy nad własnym, ludzkim światem.

To wszystko oczywiście tylko w kwestii przypomnienia. Wiedza o powyższych, przełomowych momentach zachodniej *mentalité* powinna bowiem należeć do kanonu wykształcenia każdego, kto poczuwa się do bycia jej spadkobiercą i uczestnikiem. Wiemy też, że każda z tych teorii przeszła swoistą ewolucję podlegając dziesiątkom modyfikacji. Dziś dowiadujemy się, że mieszkamy nie tylko na trzeciej planecie od Słońca, ale w ogóle gdzieś na peryferiach średniej wielkości galaktyki, a takich galaktyk są miliardy. Teoria ewolucji nabrała nowego kształtu m.in. za sprawą odkryć genetyki. Teoria Freuda niemal natychmiast została poddana srogiemu osądowi. Zarzucano jej panseksualizm, spekulatywność, empiryczną nieweryfikowalność, szarlatanerię itp. Innymi słowy wykazywano, iż jest nienaukowa. Jeśli nawet tak jest, to trudno wyobrazić sobie język dzisiejszej psychologii (a nawet język potocznego dyskursu) bez takich freudowskich i post-freudowskich pojęć, jak: *id*, *ego*, *superego*, regresja, przeniesienie, sublimacja, represja, kompleks itp.

Krótko mówiąc, wspomniane teorie ukształtowały dzisiejszy światopogląd i należą do żelaznego kanonu wiedzy przeciętnie wykształconego człowieka. Wszelako status tych teorii jest różny. Teorię Freuda znać należy, ale jej znajomości nie wymaga się od absolwenta podstawówki. Nie ma jej też w programach nauczania większości kierunków studiów. A mimo to posługujemy się często bezwiednie jej kategoriami. Można jej nie akceptować – ba, można ją totalnie odrzucać czy wręcz naśmiewać się z jej założeń. Niekiedy taka postawa uważana jest nawet za przejaw naukowego krytycyzmu. Bo też teoria Freuda była raczej wizją czy koncepcją osobowości, niż teorią spełniającą wymogi tego, co za naukę zwykło się uważać. Jeśli chodzi o teorię Kopernika, to jest ona jedną z tych przepustek do rozumienia świata,

z którymi zaznajamiamy się na pierwszych lekcjach „nauki o przyrodzie”. Zdaje się, że wszystko, co było w niej do zakwestionowania i zmodyfikowania zostało już podważone i uzupełnione, a nawet empirycznie zweryfikowane odpowiednią eksploracją tzw. przestrzeni kosmicznej. Zasadniczo to już nie teoria, to oczywistość – to, jak byśmy dziś rzekli, niepodważalny „fakt”. Upieranie się, że nasz układ planetarny ma jednak geocentryczną budowę, może być więc odebrane tylko jako żart, zresztą niezbyt wyrafinowany. Średnio inteligentne dziecko na pewno nie zaryzykuje takim dowcipem na „lekcjach przyrody”.

Tak więc te dwie teorie są już teoriami zimnymi. Nie towarzyszą im bowiem gorące naukowe ani ideologiczne spory. Nikogo nie gorszą ani nie bulwersują. Nikt nikogo nie potępia ani nie skazuje za ich głoszenie. Przynajmniej nie z urzędu i nie w krajach tzw. zachodniej kultury.

A teoria ewolucji? Jest ona jednym z fundamentów przyrodoznawstwa, w tym naukowej wiedzy o człowieku. Nigdy jednak nie osiągnęła poziomu teorii zimnej. I nigdy nie osiągnie. Nie jest to kwestia czasu. Problem tkwi bowiem w tym, iż powszechnie uznawana jest za teorię podważającą religijny dogmat kreacjonizmu, zwłaszcza biblijną wersję pochodzenia człowieka – wersję nie byle jaką, bo wspólną trzem największym religiom monoteistycznym. Powiedzieć, że wyznawcy tych religii nie zawsze darzyli się miłością, to oczywiście za mało. W tej jednak sprawie – o ile mi wiadomo – nie prowadzono doktrynalnie na tyle istotnych sporów, aby podawały w wątpliwość ów dogmat. Jest to więc bardzo poważna sprawa.

O drzemiącej w teorii ewolucji zdolności do rozpalania emocji mieliśmy okazję się przekonać śledząc prowadzoną w ostatnich miesiącach zbiorową nagonkę ludzi „świątłych”, „wykształconych”, „racjonalnie myślących”, „postępowych” (krótko mówiąc „wiedzących jaka jest prawda o pochodzeniu człowieka”) na pewną „wsteczną”, „ciemnogrodzką”, „średniowieczną” itp. propozycję. Chodzi oczywiście o pomysł zaprzestania nauczania w polskich szkołach darwinowskiej teorii ewolucji ze względu na jej „spekulatywność” i „niedowodliwość” oraz – a właściwie przede wszystkim – z uwagi na jej areligijny (antykreacjonistyczny) wydźwięk<sup>3</sup>. Pomysłodawcą projektu był poseł do Parlamentu Europejskiego, prof. dr hab. nauk leśnych Maciej Giertych. Zaś pomysł kojarzono z jego synem Romanem Giertychem (byłym wicepremierem R. P. i ministrem edukacji). Z tych to względów rzecz cała stała się sprawą publiczną, polityczną i ogólnopolską, nawet europejską, a niektórzy twierdzą, że wręcz ogólnoswiatową, o czym mógłby zaświadczać choćby głos w tej sprawie Slavoj Žižka – jednego z największych krytyków współczesnego demoliberalnego kapitalizmu oraz pieszczocha polskich, niekoniecznie byłych, marksistów.

Uważnego czytelnika powinno w tym miejscu tknąć pewne przecucie. No – am Chomsky (najwybitniejszy, żyjący amerykański intelektualista, językoznawca) rzekłby w tym przypadku, że owo przecucie to zdolność „czytania między wier-

---

<sup>3</sup> W niniejszym artykule – z uwagi na zachowanie płynności narracji – używam zamiennie terminów „darwinizm”, „teoria ewolucji” i „ewolucjonizm”, choć te dwa ostatnie terminy mają oczywiście szerszy zakres. Mój głos dotyczy jednak tylko teorii Darwina.

szami". Jest ona niezbędna do rozumienia tego, co współczesne media mówią ważnego, ale nie mówią tego wprost, lecz właśnie mówią tak jakoś „między” tym, co mówią oficjalnie. Otóż jeśli ktoś mówi lub pisze – tak jak ja powyżej – że na jakiś pogląd trwa „nagonka”, to bez wątpienia sugeruje, że dany pogląd jest „zaszczuty”. Przesłanie jest proste: oto komuś dzieje się krzywda, a więc trzeba stanąć w jego obronie. Taka jest niepisana ale konsekwentna logika semantyki demoliberalnych mediów. Dostrzegamy ją na co dzień. Ale czyżby to znaczyło, że zamierzam stanąć w obronie mniejszościowego stanowiska reprezentowanego przez pana Giertycha? Czy uważam, że był niesłusznie zaszczyty? Czy więc mam zamiar wystąpić przeciw rozpowszechnianiu teorii Darwina?

W pewnym sensie tak! Dlaczego, i w jakim sensie? Po pierwsze dlatego, że zasadniczo lubię występować przeciwko poglądom, za którymi stoi większość. W ten sposób wyrażam sprzeciw wobec pewnego złudzenia demokracji. Polega ono na następującym rozumowaniu: jeśli większość mówi „tak”, a mniejszość „nie”, to większość „ma rację”, a mniejszość „racji nie ma”. Dalej: jeśli większość „ma rację”, to znaczy, że większość „mówi prawdę”, a mniejszość „tkwi w błędzie”. Złudzenie polega więc na nieuprawnionym przejściu od „ma rację” do „mówi prawdę”. Tymczasem w systemie demokratycznym większość oczywiście ma rację, ale tylko w tym sensie, że jest większością: może coś przegłosować lub kogoś zakrzywić. Ale to nie oznacza, że mówi prawdę. Na szczęście.

Trudno to precyzyjnie wyjaśnić, ale odniosłem przemożne wrażenie, że w tym gorącym okresie sądu nad Giertychami spora grupa inkwizytorów wystąpiła w roli obrońców teorii ewolucji tylko dlatego, aby polectać swojego ego. Patrzcie na mnie – zdawali się mówić niektórzy występujący w telewizji – do tej pory nie dawałem się wprowadzić poznać z tej strony, ale to ja jestem obrońcą „nauki”, „prawdy”, „rozumu”, „mądrości”, no i oczywiście „tolerancji” (bo słowo „tolerancja” musi paść zawsze, a jakże!), przed siłami „irracjonalizmu” i „ciemności”.

Niestety, nie wystarczy mówić, że się takim jest. Trzeba jeszcze dać tego dowody! Ale i tak (jak to zwykle bywa w podobnych przypadkach) pewna ilość widzów nabrała się na deklaracje. Szczytem ignorancji (a zwłaszcza arogancji<sup>4</sup>) było zaproszenie do pewnego cyklicznego programu telewizyjnego nieco już przybłąkłego, popkulturowego Idola oraz znanej skądinąd pani Satyryk<sup>5</sup>. Oboje wystąpili w roli obrońców darwinizmu. Należy więc założyć, że czuli się w tej materii ekspertami. O ile pani Satyryk chyba dość szybko zorientowała się, iż bierze udział w intelektualnie i koncepcyjnie niewydarzonym przedsięwzięciu, o tyle Idol poraził mnie (ale, jak wiem, nie tylko mnie) nieprawdopodobnym schematem myślowym, dając tym samym wyraz głębokiej wiedzy o doniosłości kulturowego przesłania darwinizmu. Oto logika Idola: „Jeśli zakaże się wykładać teorię ewolucji, to wkrótce zakaże

---

<sup>4</sup> Chciałem początkowo napisać „szczytem intelektualnej perwersji” – ale mogłoby to być odczytane jako pochwała.

<sup>5</sup> Chodzi o – zdjęty już z ramówki TVN, zasadniczo za obsceniczność – program „Dwururka” prowadzony przez W. Jagielskiego i K. Szczukę. Osoby zaś o których mowa, to M. Wiśniewski (lider zespołu „Ich Troje”) oraz O. Lipińska (autorka m.in. cyklu „Właśnie leci kabarecik”).

się ludziom bzykania, a przecież ludzie lubią się bzykać... ha! ha! ha!”. Cytuję z pamięci, ale raczej niczego nie ująłem z niezwykłej subtelności tego wyводу.

Włodzimierz Majakowski zwykł mówić w takich sytuacjach: „Zabijcie mnie, niech chociaż trochę odpoczne!”. Objawiający się zewsząd obrońcy teorii ewolucji, zaświadczający o jej prawdziwości (a zwłaszcza o swoich intelektualnych walorach), nie dawali mi jednak szans na wytchnienie. To właśnie dzięki nim (a nie dzięki panom Giertychom!) uświadomiłem sobie, jak głęboka mądrość tkwi w pewnym stwierdzeniu Floriana Znanieckiego. Ten znakomity humanista, wybitny (o światowej sławie) polski socjolog i filozof kultury napisał kiedyś: „Otóż zwykłym ludziom, pozbawionym specjalnego przygotowania, nie można bez obawy powierzyć obowiązków myślenia, ponieważ ich niewprawny i nieukierunkowany umysł sprowadziłby ich na manowce; mają oni skłonność do popełniania głupich »błędów« w rozumowaniu, które dostarczają argumentów drugiej stronie sporu, zamiast umocnić własną [podkr. L. Z.]. Myśleć za nich musi ktoś stojący wyżej od nich i lepiej poinformowany, ich zaś obowiązkiem jest po prostu naśladować jego myślenie i przyswajać sobie w miarę możliwości jego wyniki”.<sup>6</sup>

Dzięki wystąpieniu Idola zrozumiałem, że jest to formuła nie tylko mądra, ale także przesiąknięta humanizmem, a przede wszystkim głębokim humanitaryzmem. Żyjemy w systemie, który gwarantuje każdemu prawo do wyrażania swoich przekonań. Nawet idolom, a więc również Idolowi! Na szczęście, bo dlaczegoż by nie? Ale również niestety. Niestety, gdyż niektórzy sądzą (jak Idol), iż w związku z tym mogą zabierać głos na każdy temat. A to złudne mniemanie!

Wypowiedź Idola (ale nie tylko) przypomniała mi jeszcze jedną teorię. Jest to dość osobliwa teoria czterech typów ludzkich. Pochodzi ona od innej, współczesnej znakomitości. Jej autorem jest językoznawca-semiolog, estetyk, mediewista, krytyk literatury, filozof mediów i kultury masowej, pisarz *etc. etc.*, czyli Umberto Eco. Wykładni tej dokonuje Eco za pośrednictwem niejakiego Belba. Belbo to jeden z bohaterów powieści *Wahadło Foucaulta*. Otóż zdaniem Belba – a właściwie zdaniem Eco, jak podkreśla autor biografii wielkiego Włocha, z której pozwałam sobie skorzystać, aby rzecz uczynić bardziej przejrzystą i zwartą – „ludzie dzielą się na matolków, tępaków, głupców i szaleńców. Nad matolkami nie warto się rozwodzić (przykładem są ludzie, którzy trafiają lodami w czoło lub wchodzą od złej strony w drzwi obrotowe). Tępaczy są bardziej zajmujący, gdyż są to ci, którzy zawsze »mówią koło kieliszka« (pytają na przykład, jak się miewa małżonka kogoś, kogo właśnie rzuciła żona). Najlepszym przykładem [...] jest tutaj Joachim Murat, który dokonując przeglądu wojsk powracających z Martyniki, zapytał jednego z żołnierzy: »Czy Pan jest Murzynem?« i gdy ów potwierdził, Murat zareplikował: »Brawo, tak trzymać«. Głupcy z kolei nigdy nie popełniają pomyłek, lecz błędzą w rozumowaniu. Ich rozumowanie przebiega mniej więcej tak: wszystkie psy są zwierzętami domowymi i wszystkie psy szczekają, ale koty też są zwierzętami domowymi, więc też szczekają. Głupcy są sprytni i mogą nawet otrzymać Nagrodę Nobla. Cała historia logiki wydaje się historią definiowania takiego pojęcia głupoty, które mogliby-

<sup>6</sup> F. Znaniecki, *Společne role uczonych*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1984, s. 351.

śmy zaakceptować. Szaleńcy to głupcy pozbawieni logiki, nawet fałszywych sylogizmów, dowodzących szczekania kotów. Szaleńcy wierzą, że wszystko stanowi dół wszystkiego i że wszystko się ze sobą wiąże”.<sup>7</sup>

Załóżmy, że powyższy podział jest podziałem zupełnym, czyli obejmuje całą populację *homo sapiens*, a to oznacza, iż dotyczy każdego przedstawiciela tegoż gatunku. Tym samym poniekąd obliuguje każdego (w tym Idola i podobnych mu obrońców teorii ewolucji), aby odnaleźli przypisane im przez Belbą miejsce. Powodzenia! I dobrego samopoczucia.

Ogólnonarodowa debata nad teorią ewolucji potwierdziła też moje wcześniejsze spostrzeżenia dotyczące specyficznej grupy dziennikarzy, publicystów i tzw. redaktorów. Jest to grupa na tyle specyficzna, że zarazem stanowi większość w demoliberalnych mediach. To właśnie najczęściej jej przedstawiciele pojawiali się w tej debacie jako obrońcy „rozumu” przed „ignorancją”. Jest to dla mnie zupełnie zrozumiałe, albowiem chodzi tu o ten rodzaj ludzi mediów, którzy nigdy nie mają wątpliwości i zawsze wiedzą najlepiej, co jest prawdą a co fałszem, a także bezbłędnie rozpoznają granicę między dobrem a złem (choć, o dziwo, zarazem są przeciwni podziałom ludzi na „dobrych” i „złych” oraz optują za aksjologicznym relatywizmem). Oni wiedzą najlepiej, że teorie spiskowe są fałszywe, że patriotyzm jest dobry a nacjonalizm zły. Jeśli zostanie pobity cudzoziemiec, oni od razu wiedzą, że uczynił to nie patriota (ten przecież szanuje cudzoziemca), lecz nacjonalista i ksenofob albo szowinista i rasista. Zresztą nieważne, który z nich – obaj są przecież źli i siebie warci. Tacy ludzie mediów dobrze wiedzą, że w Polsce utrzymuje się wysoki poziom przekonań nacjonalistycznych, ksenofobicznych, szowinistycznych, homofobicznych, antysemitkich i rasistowskich – ogólnie mówiąc, podwyższony stan nietolerancji. Ci lepiej poinformowani wiedzą jeszcze więcej. Wiedzą mianowicie, że nie chodzi tylko o wysoki poziom tych postaw i przekonań, lecz o ich „gwałtowny i niebezpieczny wzrost”, co „stawia nas w złym świetle na tle innych krajów Europy” (Zjednoczonej zresztą) i w ogóle całego „cywilizowanego świata”. O czym nas z powagą, troską i przestrogą informują.

Skąd ta wiedza? Otóż ci ludzie mediów wiedzą o tym z ... mediów! Dziennikarze, publicyści i tzw. redaktorzy czytają przecież prasę, słuchają radia, oglądają telewizję. Stąd ta mądrość i wszechwiedza. Ale zaraz, zaraz !! Przecież to oni właśnie tworzą te media. Wiedzą więc od samych siebie. Lecz czy ta wiedza, że wie się od samego siebie, coś zmienia w tej wiedzy? Budzi jakąś krytyczną refleksję? Bez wątplenia u niektórych tak. Lecz u tych najlepiej poinformowanych raczej nie. Oni przecież wiedzą o czym mówią. I nie mogą się mylić, skoro o tym mówią. Jeśli zaś mówią o nietolerancji, ksenofobii, homofobii itp., to przecież nie mogą mówić o czymś innym niż o tym, o czym mówią, a już na pewno nie mówią o czymś czego nie ma. To niemożliwe! Bo o czym by mówili, gdyby tego nie było?

---

<sup>7</sup> P. Bondanella, *Umberto Eco. Semiotyka, literatura, kultura masowa*, przeł. M. P. Markowski, Kraków 1997, s. 139-140.

To niezbyt skomplikowana logika. Ostatecznie przypomina ona pewien rodzaj myślenia w ten sposób zidentyfikowany przez U. Eco: „Niektórzy ludzie są zdą, że najlepszym dowodem na kulistość Ziemi jest... globus”.<sup>8</sup>

Pozostaje jeszcze pytanie: Dlaczego o tym wiedzą? Przyznając, pytanie to brzmi nieco dziwnie. Powinno ono raczej brzmieć: Dlaczego rozpowszechniają takie nieweryfikowalne *newsy*? Ale odpowiedź na to pytanie jest już zupełnie inną historią, a nawet teorią. Spiskową zresztą! Lecz w tym momencie wszystkowiedzący dziennikarze, publicyści czy tzw. redaktorzy uśmiechną się tylko z wyższością i politowaniem. I pomyślą – no tak, znowu teoria spiskowa, można się było tego spodziewać! Oni przecież wiedzą, że teorie spiskowe są produktem paranoi. A skąd to wiedzą? A wiedzą to z mediów. I tak oto zamyka się hermeneutyczne koło. A w nim dumnie tkwi określony typ „wiedzącego”, medialnego mentora przekonanego o autonomii własnego myślenia. A jest to myślenie w kategoriach globusa jako do wodu na kulistość Ziemi.

Byłoby to, co rzekłem powyżej, tylko niegroźnym dworowaniem sobie z mediów, albo nawet wyrazem osobistej niechęci do pewnych indywidualów je zasiedlających? Byłoby, ale nie jest. Zachodzi bowiem w tym względzie pewna okoliczność wszystkim doskonale znana. Żyjemy w tzw. społeczeństwie sieciowym. Oto co pisze w tej materii filozof polityki: „Wedle zwolenników sieci analizy współczesnych stosunków społecznych i politycznych oraz ich normowania winny być dokonywane w kategoriach sieci. Sieci są bowiem wszędzie. Niepodobna się od nich uwolnić. Sieci społeczne to układy relacji i powiązań między ludźmi. Są to powiązania utrzymywane dzięki rozmowom, spotkaniom, przekazom informacji. Sieci tworzą się same i zachowują istnienie dzięki odpowiedniej aktywności je podtrzymującej. Tworzą pewne porządki formalne lub nieformalne. Są strukturami komunikacji, zależności, oddziaływać, przepływów. [...] Na ogół są niewidoczne dla postronnego obserwatora. Najbardziej znaczącym przykładem sieci w epoce globalizacji jest sieć informatyczna. Uzyskała ona dominującą rolę, to znaczy, że wokół niej organizowane jest życie społeczne. [...] Z sieciami informatycznymi ściśle wiążą się sieci komunikacyjne: mediów komunikacji indywidualnej (telefonii komórkowej, Internet) oraz masowej (telewizja, radio, prasa). [...] W sieciach występują liderzy, czyli role o największym wpływie na sieć. Oni są węzłami o największej mocy. Do nich przyłączają się zwykle nowi uczestnicy sieci. Takimi węzłami głównymi są na przykład prezenterzy telewizyjni [...]. Dostęp do sieci to dostęp do władzy. Ale nie

---

<sup>8</sup> Doświadczyłem tej logiki na własnej skórze. Otóż w pewnej rozmowie zaprotestowałem przeciwko tezie, że istnieje zjawisko zwane „homofobią”. Zdziwiony moimi obiekcjami, skądinąd wykształcony człowiek rzekł: „To jest zjawisko masowe, o czym przecież zaświadczały masowe akcje, protesty i wystąpienia przeciw homofobii”. Drogi czytelniku, z równą prawomocnością moglibyśmy dziś twierdzić, że niepodważalnym i ewidentnym dowodem na wszechobecność swego czasu czarownic były liczne procesy i płonące stopy. Bo któż na nich płonął, jak nie czarownice? Osobiście uważam, że demoliberalna kultura, jak każda kultura potrzebuje swego wroga. Jest to potrzebne każdej kulturze do jej samookreślenia. Kiedyś taką rolę pełniły zastępy czarownic, nie tak dawno temu był nim zakonspirowany „wróg klasowy”, dziś tę rolę pełnią legiony „ksenofobów”, „antysemitów”, „homofobów”, „szowinistów” itp. Nie ma takowych? Niemożliwe, żeby ich nie było! Trzeba tylko zastosować odpowiednie procedury konceptualne, by ich zdekonspirować – trzeba wykazać się liberalno-tolerancyjno-wolnościową czujnością.



każde miejsce w sieci daje równy dostęp. Zarówno w sieciach jawnych, działających zgodnie z prawem, jak i w sieciach ukrytych występują relacje niejawne, towarzyskie, klikowe. Sieci zamykają się na obcych. [...] Punkty styku różnych sieci (węzły) stanowią uprzywilejowane miejsca władzy. Kto jest w ich posiadaniu, ten ma władzę. Operują one wieloma kodami i wywierają największy wpływ na społeczeństwo. [...] Sieci są miejscami, w których krąży władza”.<sup>9</sup>

Cytując te słowa wcale nie chcę powiedzieć, że darwinizm został wymyślony przez media na użytek „określonych sił” wrogich religii, pragnących zlaicyzować umysły mas. Także nie twierdzę, iż prawdziwość teorii ewolucji została ustalona drogą demokratycznego głosowania, zaś media zachęcały do powszechnego głosowania „za”. Choć, mówiąc szczerze, nieraz odnosiłem takie właśnie wrażenie. Jakby podskórnie obawiano się zbiorowej „inwazji obskurantyzmu”, przeciwko któremu trzeba zmobilizować wszelkie siły. Bo jak wytłumaczyć obecność w tej polemice „ekspertów” od teorii ewolucji pokroju Idola?

Pragnę tylko stwierdzić, iż publiczna debata, o której mowa, była zarazem publiczną porażką krytycyzmu, a raczej obnażyła wszechobecną niechęć, a nawet pogardę dla myślenia krytycznego. Może jest to tylko intelektualna niemoc albo brak świadomości, że w ogóle istnieje coś takiego, jak krytycyzm? Nie wiem. Wiem natomiast, że zasady krytyczności nauczyli nas starożytni Grecy. Dodać trzeba, że ta filozoficzna zasada jest fundamentem zachodniej racjonalności, wiedzy, nauki, postępu itp., a więc fundamentem tego wszystkiego, z czego jesteśmy dumni i czym się szczycimy – i do czego odwoływali medialni obrońcy darwinizmu. Ponieważ może być i tak, że w grę wchodzi zwyczajna niewiedza, to przypomnijmy, że „krytyczność” nie oznacza tu „krytykowania” w sensie „odrzuć” czegoś. Chodzi natomiast o greckie słowo *κρίνειν* (*krínein*) oznaczające „odróżniać”, „rozstrzygać”, „osądzać”, „oddzielać”. Myślenie krytyczne polega na ustawicznym pytaniu o źródła danego stanowiska, jego przesłanki, o rodzaj i wagę argumentów „za” i „przeciw”.

Metodolog i filozof społeczny, K. R. Popper twierdził, że szczególnie powinniśmy być krytyczni wobec przekonań, które osobiście wyznajemy. Może się bowiem zdarzyć tak, że z racji tego, iż przekonania te najbardziej kochamy (bo są nasze), nie potrafimy podać żadnych sensownych racji ani argumentów na ich obronę. *Vide* kazus Idola. Możemy się, co najwyżej, oburzać, że ktoś je podważa czyli chce zdestabilizować grunt, po którym do tej pory twardo stąpaliśmy. Ale zgroza i oburzenie, choćby najświętsze, nie są argumentami w racjonalnej dyskusji. Nie są też nimi ironiczne uśmieszki, wyniosły ton, nadąsana mina, zmarszczone groźnie brwi, uszczypliwe uwagi, argumenty *ad personam*, ani też „bardzo śmieszne dowcipy” o zwolennikach kreacjonizmu, którymi obdarowywali nas medialni obrońcy teorii ewolucji.

W których momentach brakowało takiego krytycyzmu? Ano w takich, w których jednocześnie dawały znać o sobie ignorancja i arogancja. Te siostry zwykły

---

<sup>9</sup> T. Buksiński, *Współczesne filozofie polityki*, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Wydawnictwo Naukowe Instytutu Filozofii, Poznań 2006, s. 379-381.

bowiem chodzić razem. Oto kilka irytujących przykładów. Bardzo często światli rzecznicy teorii ewolucji stwierdzali, że walka z nią jest „powrotem do średniowiecza” – oczywiście „ciemnego”. Bo średniowiecze zawsze musi być „ciemne”. Mówiono też coś o czarownicach, stosach, inkwizycji, torturach oraz irracjonalizmie. Także w związku ze średniowieczem.

Otóż trzeba zmartwić wszystkich hołubiących taki obraz średniowiecza wraz z jego powyższymi przyległościami. Gdy ktoś mówi w mojej obecności o „ciemnym średniowieczu” i „średniowiecznych torturach” to zwykle replikować, że Średniowiecze rzeczywiście było ciemne, bo nie rozświetlały go stosy. Polowania na czarownice (w tym wyrafinowane tortury) to domena odrodzeniowej racjonalności. Słynny *Młot na czarownice* (*Malleus Maleficarum*) ujrzał światło w roku 1486 i nie był dziełem ciemnego nieuka. W spółce autorskiej znalazł się Jakob Sprenger – dziekan Uniwersytetu w Kolonii. Inną, podstawową w tym względzie pracą był traktat *La Demonomanie des Sorciers* (1580) autorstwa Jeana Bodina, uważanego dziś za genialnego teoretyka myśli politycznej. Stosy płonęły w wiekach XIV (pierwszym wieku Odrodzenia), XV, XVI, także XVII (wieku narodzin nowożytnej nauki), a zdarzało się, że i w XVIII (słynnym wieku rozumu i oświecenia). Czasy spalonego G. Bruna i płonących masowo stosów za sprawą Hiszpańskiej Inkwizycji, to przecież nie Średniowiecze. Co więcej, te praktyki nie były średniowieczną zaszłością, jakimś pokłosiem średniowiecznego irracjonalizmu uparcie przeciwstawiającego się odrodzeniowemu postępowi. Polowania na czarownice i wspomniane przypadki były właśnie wyrazem budzącej się nowej racjonalności.

A Średniowiecze? Trwało bez mała dziesięć wieków – dziesięć wieków, których nie da się skwitować słowami „ciemne” czy „mroczne”. Oczywiście istnieją jakieś przesłanki przywoływania tego rodzaju epitetów. Nie wzięły się one przecież znikąd. Ich autorami byli właśnie luminarze Odrodzenia, jak Leonardo Bruni (który nazywał minione wieki „okresem barbarzyństwa”), Gianozzo Manetti (mówiący o „okresie mroków”) czy Erazm z Rotterdamu (dla którego średniowiecze to „okres ignorancji”). Były to zawołania o ideologicznym przesłaniu, mające – jak to zwykle bywa w takich przypadkach – podnieść poziom dobrego samopoczucia ludzi tej epoki kosztem opinii o „wiekach średnich” (*media aetas*). I poszły w świat. I – jak widać oraz słyhać – mają się całkiem dobrze, choć dawno zostały zakwestionowane. Bo przecież w średniowieczu rozwinęła się logika (i właśnie myślenie krytyczne), także sztuka, w tym chyba najwspanialszy styl architektoniczny gotykiem zwany. O wcześniejszym, romańskim nie wspomnę. W średniowieczu postanowiono ujednoczyć europejskie nauczanie powołując do istnienia uniwersytety. To taki typ wyższej uczelni. W ogóle, uczyniono Europę zjednoczoną według zasady: jedna religia (chrześcijaństwo), jeden język (łacina), jeden pieniądz (ze szlacheckiego metalu). Generalnie, takie wyobrażenia średniowiecza i odrodzenia jako przeciwstawnych sobie epok (jako „ciemności” i „jasności”) należą do prostych, dziewiętnastowiecznych interpretacji zrodzonych ze stanowiska szwajcarskiego historyka kultury Jakoba Burckhardta, rozwijanych m.in. przez marksistowską filozofię (czy raczej ideologię) kultury. Dzisiaj należą już do przeszłości.

W zasadzie czuję zażenowanie przypominając rzeczy tak oczywiste. Ale najwyraźniej dla niektórych tropicieli i pogromców „średniowiecza” mogą to być szokujące odkrycia. To po pierwsze. Po drugie, we wspomnianych polemikach dominowała dramatyczna alternatywa: Albo naukowa teoria ewolucji (czyli „prawda” o pochodzeniu człowieka), albo biblijnie pojęty kreacjonizm (czyli mitologiczna „bujda”). Oczywiście pojawiały się incydentalnie głosy, że nauka Kościoła zaakceptowała pewne tezy ewolucjonizmu. Ale brakowało mi rzeczowej debaty na temat rodzaju tych tez i sposobu ich afiliowania w obszar chrześcijańskiej dogmatyki. Bez wątplenia – bo nie wierzę, by mogło być inaczej – gdzieś, w jakimś wystąpieniu, zwrócono uwagę choćby na oryginalną i głośną swego czasu koncepcję (zwaną ewolucjonizmem chrześcijańskim) teologa i paleontologa, Pierre’a Teilharda de Chardin.

Przy tym wszystkim śmiem wątpić czy przeciętny, medialny ekspert od teorii ewolucji zadał sobie choć raz pytanie (oczywiście krytyczne) o metafizyczny status *stricte* naukowej teorii powstania Wszechświata zwanej teorią Wielkiego Wybuchu? Czy przyszło mu do głowy, że naśmiewając się z teorii kreacjonizmu powinien zarazem wyjątkowo sceptycznie podejść do teorii Big Bangu? Taki właśnie stosunek miał do niej kiedyś Albert Einstein, który uważał, że teoria Wielkiego Wybuchu jednak zbyt przypomina biblijną opowieść o stworzeniu świata. Bang! – i stała się Światłość zwana Naturą, albo (jak kto woli) Wszechświatem. A co było przedtem? Przedtem było „Nic” – jak słyszemy w powtarzanym ostatnio na „Discovery” filmie o Początku Wszystkiego. Niezła historia. I do tego naukowa. A więc „prawdziwa”. Któż zatem ją podważy i obali? Ano – wcześniej czy później – nie kto inny, jak właśnie ludzie zwani naukowcami. Bo teorie naukowe mają to do siebie, że pojawiają i upadają, są formułowane i obalane. Gdyby było inaczej, to nauka po prostu nie rozwijałaby się. Żadna prawdziwa teoria naukowa nie jest bowiem prawdziwa mocą jakiejś bezwzględnej i ponadczasowej prawdy. Ona jest prawdziwa mocą obowiązującego w danym czasie paradygmatu naukowości, sposobu weryfikacji; jest racjonalna według kryteriów racjonalności danej epoki itp. Dana teoria naukowa obowiązuje tylko przez jakiś czas. Weźmy pod uwagę choćby historię fizyki. Najdłużej utrzymywała się teleologiczna (nie mylić z teologiczną!) filozofia przyrody Arystotelesa – od IV w. p.n.e. do, mniej więcej, czasów Galileusza. Trwała więc około dwa tysiące lat! Z tej racji mogła się wydawać absolutnie prawdziwą. Dziś istnieje problem stosunku teorii Newtona do teorii Einsteina. Obie są prawdziwe: na swój sposób, w swoim własnym zakresie – w zakresie własnego sposobu opisu świata.

Zatrzymajmy się jeszcze przy Einsteinie. Myli się ten, kto sądzi, że Einstein dlatego kwestionował kreacjonistyczny aspekt teorii Wielkiego Wybuchu, gdyż był ateistą. Otóż nie. Einstein przez całe swe życie miał problem z naturą Boskości. Przez całe życie próbował wyjaśnić przede wszystkim samemu sobie, jako człowiekowi-fizykowi, co kryje się za ideą Boga i czym On jest. Próbował zmierzyć z tym problemem, podobnie jak uczynili to w przeszłości inni giganci nauki, chociażby Arystoteles, Kartezjusz, Newton, Leibniz, Pascal, czy Spinoza. Ci geniusze zasłynęli w związku z tym z paru niezmiernie ciekawych wypowiedzi na temat Boga. Taka

postawa nazywa się właśnie krytycyzmem. Jest intelektualnym czuwaniem i przytomnością rozumu. To dzięki niej rodzą się wspaniałe teorie naukowe.

I jeszcze jedna bardzo ważna uwaga związana z kwestią naukowości. Chodzi mi o pewne słowo, które ostatnimi czasy zrobiło ogromną karierę. Jest ono symbolem, wręcz synonimem naukowej postawy. Naukowej, a więc „bezsronnej”. Dlatego również media są do niego bardzo przywiązane. Zwłaszcza media „bezstronne”, chcące jeszcze bardziej podkreślić swoją „bezstronność” i „obiektywność”, czyli – mówiąc językiem tychże mediów – swoją „niezależność”. To niemal magiczne słowo. Jego przywołanie ma gwarantować, że dana informacja jest „prawdziwa”, że stwierdzenie ma charakter „niepodważalny”, że temu o czym mówimy „nie sposób zaprzeczyć”, że trzymamy się wyłącznie „obiektywnych” danych, że „twardo stąpamy po ziemi”, że „kierujemy się zdrowym rozsądkiem”, że... *etc. etc.* Mam na myśli oczywiście słowo „fakt”. Oto – jak słyszymy zewsząd – trzeba „trzymać się faktów”, „z faktami się nie dyskutuje”, „to są niepodważalne fakty”, „na fakty nie można się obrażać”, „fakty mówią same za siebie” itp. itd.

Czasem odnoszę wrażenie, iż np. polityczni przeciwnicy zasiadają do dyskusji tylko po to, aby wykazać, który z nich jest szybszy w posługiwaniu się argumentem faktu. Interlokutor zaatakowany stwierdzeniem, że „przeczy faktom” powinien paść jak rażony piorunem. Od tego momentu pozostaje mu już tylko bronić się. Ale to na nic – już przegrał, wyrok już zapadł, już wszyscy usłyszeli, że jest kompletnym matofem, bo „nie respektuje faktów”.

Było dla mnie rzeczą oczywistą, iż argument faktu wcześniej czy później pojawi się w polemice z teorią kreacjonizmu. I tak też się stało. Oto bowiem dowiedziałem się (o ile pamiętam, dzięki pani Satyryk), że posiadam kość ogonową. I to jest „fakt”! Oczywiście „fakt potwierdzający” teorię ewolucji. Czy można w takiej sytuacji przeczyć tej teorii?

Może tak, może nie. Nie wiem. Wiem natomiast, jak metodologicznie trudne jest zagadnienie prawomocności wiedzy opartej na faktach. Bo czymże są owe fakty? Ostatecznie okazują się interpretacjami. Jak bowiem powiadali uczeni ludzie średniowiecza – *quidquid recipitur, secundum modum recipientis recipitur*. Otóż to: „interpretacja jest zawsze interpretacją interpretującego”. W świetle teorii ewolucji, a zarazem w oczach interpretatorów kości ogonowej, jest ona dowodem na takie, a nie inne, pochodzenie człowieka. Innymi słowy, żadne fakty nigdy i nigdzie nie mówią same za siebie!!! Ba, nawet liczby nie mówią same za siebie.

Sądzę, że dzisiejsza wszechobecność „faktu” jest syndromem osobliwego poważnego stanu współczesnej *mentalité*. Skąd bowiem wzięło takie uwielbianie „faktu”? Dość przekonująco i zarazem sugestywnie wyjaśniał to kilkadziesiąt lat temu amerykański filozof, Richard M. Weaver. Jego zdaniem taki stan rzeczy zdaje się zaświadczać, że dzisiaj mądrość skapitulowała przed myśleniem, iż wiedza oparta na faktach jest najwyższym stadium ludzkiego poznania. Takie przekonanie nie pojawiło się znikąd. Jest ono wyrazem dość powszechnego szacunku dla specjalizacji i różnego typu specjalistów.

Tymczasem w kulturze Zachodu od początku jej narodzin przez całe wieki panowała nieufność, a niekiedy nawet pogarda dla specjalizacji jako tej, która

wręcz degradowuje człowieka (ograniczając go, poniżając, zniewalając i deformując). „Przekonanie, że specjalizacja jakiegokolwiek rodzaju sprzeciwia się wolności człowieka jest bardzo stare – jego rodowód sięga klasycznego antyku. Człowiek pragnący zagrzebać się w szczegółach jakiegoś małego przedsięwzięcia uważany był za straconego dla większych spraw, które zajmują umysł władcy. Pogląd ten dobrze został wyrażony w *Metafizyce* Arystotelesa, w jego hierarchii wiedzy. Wyjaśnia go również Plutarch za pomocą obserwacji, że »człowiek zatrudniony nędznymi zajęciami, w samym trudzie, który podejmuje dla rzeczy o małym znaczeniu, wytwarza świadectwo przeciw sobie, świadectwo swej opieszałości i niezdolności do tego, co jest naprawdę dobre«. Na ten sam pogląd natknęliśmy się u autorów XVII- i XVIII-wiecznych. [...] Specjalizacja rozwija tylko część człowieka; człowiek częściowo rozwinięty jest zdeformowany; a ktoś zdeformowany powinien być ostatnią z osób nadających się do rządzenia – to nieubłagana logika. Dlatego nauki przyrodnicze i techniczne nie są poszukiwaniem ideału człowieka wszechstronnego, albowiem wymagają ciągle dokładniejszego badania świata fizycznego, czynią ideał ze specjalizacji. Można w tym momencie przywołać Nietzscheańską postać uczonego, który spędza życie studiując strukturę mózgu pijawki”.<sup>10</sup>

Tak więc postępująca stopniowo specjalizacja, polegająca na „coraz głębszym zanurzeniu się w tajemnice świata fizycznego”, była drogą, która zawiodła naukę na peryferie pytań centralnych. Oddaliła ją od Centrum stanowiącego przedmiot najwyższej mądrości: problemu „relacji ludzi z Bogiem i relacji ludzi do ludzi”. Odpowiedzi na te pytania nie są oczywiste. Są też bardzo trudne. Wymagają bowiem zdolności filozofowania. Zwłaszcza zdolności do myślenia w kategoriach tzw. pierwszych zasad; w szczególności zaś pierwszych zasad ludzkiego postępowania. Zmuszają do namysłu nad naturą dobra i zła. Wymagają też odwagi, albowiem implikują określone stwierdzenia etyczne, prowadzą do zajęcia określonych postaw moralnych. No i nie są stwierdzeniami o faktach! Tymczasem w oczach legionów ludzi „fakty na peryferiach są jakoś bardziej oczywiste”, bo mogą być „obiektywnie zweryfikowane”. To właśnie oni ponaglają naukowców-specjalistów by przyczyniali się do rozwoju cywilizacji. Rozwój cywilizacji pojmują zaś jako coraz skuteczniejsze panowanie człowieka nad naturą. Pęd do specjalizacji ośmiesza człowieka. Specjalista byłby więc godny politowania, gdyby nie szacunek, którym jest dziś obdarowywany za to, że przyczynia się do opanowywania przyrody.

Niestety, współczesny uczone-specjalista, który utracił zdolność filozofowania „może być porównany z pijakiem, który zdawszy sobie sprawę z utraty równowagi usiłuje się ocalić czepiając się drobiazgów. Skądś znamy to przedstawienie pewności i arbitralności. Kiedy świat wokół niego zaczyna się kołysać, chwytą się czegoś, co dociera do jego ograniczonego umysłu. Tak więc naukowiec, utraciwszy kontrolę nad rzeczywistością organiczną, lgnie coraz bardziej do swych odkrytych faktów w nadziei, że zbawienie leży w tym, co może być obiektywnie zweryfikowane.

---

<sup>10</sup> R. M. Weaver, *Idee mają konsekwencje*, przełożyła M. Bubula, posłowie W. Turek, Wydawnictwo Profesjonalnej Szkoły Biznesu, Kraków 1996, s. 62.

Stąd bierze się zadziwiająca popularność informacji o faktach. Naturalnie, niemożliwe jest życie bez pewnej wiedzy, uznawanej za podstawę istnienia. Relatywiści powiedzieli człowiekowi, że nie może poznać prawdy, ma zatem »fakty«. Można zauważyć, że nawet w języku codziennym słowo »fakt« zastępuje wyraz »prawda«. »To fakt« – mówi się dziś w celu kategorycznego potwierdzenia. Kiedy fakt stał się kryterium ostatecznym, mądrość stała się nieosiągalna. Tymczasem opinia publiczna systematycznie uczona jest mieszania szczegółów faktograficznych z mądrością. W radiu, czasopiśmie i gazetach pojawiają się niezliczone gry i quizy, które mają sprawdzić czyjs zasób wiedzy. Zbieranie niepowiązanych szczegółów staje się celem samym w sobie i zajmuje miejsce prawdziwego ideału nauczania. Tak zwodniczy jest program, według którego na jednej z popularnych kolumn gazetowych zaprasza się czytelników do przetestowania ich »zdrowego rozumu« poprzez odpowiedzi na proponowane pytania ankietowe. To samo zamiłowanie do spraw peryferyjnych już dawno temu nawiedziło szkoły i to, trzeba przyznać, na najwyższym poziomie. Uczyniło nonsens ze studiowania literatury i prawie zrujnowało historię. Przypuszczenie, że fakty będą mówić same za siebie, jest rzeczą jasną kolejnym ustępstwem rozumu. Wielbicieli obiektywizmu płaszcą się jak impresjoniści przed rzeczywistością zewnętrzną w mniemaniu, iż organizująca praca rozumu jest zwodnicza. Platon przypominał, że na każdym poziomie badania naukowego jest bardzo ważne, by sobie uświadomić, czy zbliżamy się czy oddalamy od pierwszych zasad. Znaczenie zmiany, jaką tu obserwujemy, polega na tym, że wcześniejsza nieufność do specjalizacji została zastąpiona przez swe przeciwieństwo – nieufność do uogólniania. Człowiek nie tylko stał się specjalistą w praktyce, ale nauczone go także, że poszczególne fakty reprezentują najwyższą formę wiedzy”.<sup>11</sup>

Zdaniem Weavera ta wszechobecność słowa „fakt” paradoksalnie obnaża złudzenia jakimi karmi się jego wielbicieli, zarazem zwolennicy scjentyzmu i piewcy specjalizacji – ostatecznie propagatorzy swoistego empiryzmu. Obluda tego stanowiska polega na tym, że zakłada ono, iż „posiadanie racji w małych rzeczach przygotowuje drogę do prawomocnego sądu o rzeczach wielkich. Jednakże nigdy do tegoż osądu nie dochodzi”.<sup>12</sup> Jak się wydaje, nie dzieje się tak z dwu zasadniczych przyczyn. Po pierwsze dlatego, że „pedantyczny empirysta, zagrzebany w swej małej działaczce fenomenów, wyobraża sobie, że wierność tym fenomenom zwalnia go z zajmowania się szerszymi aspektami rzeczywistości [...]”<sup>13</sup>. Po drugie dlatego, iż zwolennik „faktu” po prostu „lgnie do potwierdzonych już szczegółów. Wydają się one nieszkodliwe. Jakiegokolwiek wykroczenie poza nie, ku centrum, może się łączyć z poważnymi obowiązkami”.<sup>14</sup>

Najważniejszy z tych obowiązków, to oczywiście konieczność myślenia w kategoriach pierwszych zasad. Ale co by się stało, gdy zwolennik „faktu” musiał zaakceptować istnienie innej prawdy – nie tej naukowej, lecz właśnie prawdy abso-

<sup>11</sup> Tamże, s. 63-64.

<sup>12</sup> Tamże, s. 65.

<sup>13</sup> Tamże, s. 65.

<sup>14</sup> Tamże, s. 64.

lutnej. Na przykład tej prawdy, że istnieje jakieś moralne centrum, że są jakieś pierwsze, nieprzekraczalne zasady ludzkiego postępowania, i że to one właśnie decydują o tym czy dana jednostka wieździe autentycznie wartościowe życie. Musiało by to jednak oznaczać, że nie wszystko jest relatywne, nie wszystko wolno; że powszechny egotyzm wprawdzie jest faktem, ale to nie znaczy, że egotyczne postawy są godne podziwu, a ich wyraziciele mają być społecznymi wzorami.

Otóż współczesna, zachodnia kultura tak bardzo kocha „fakty”, ponieważ jest ona właśnie kulturą promującą egotyzm i relatywizm. „Fakty” przecież nie wartościują czyichś postaw, przekonań czy skłonności, a tylko stwierdzają istnienie takowych. „Fakty” są zatem bezpieczne dla takiej kultury, będącej zarazem kulturą demoliberalną. Jest bowiem wiele racji w stwierdzeniu polskiego krytyka liberalizmu, że to właśnie liberalizm stał się „głównym dostawcą stereotypów we współczesnej kulturze”. To za sprawą liberalnych „schematów myślowych [...] język światopoglądowy, jakiego używają intelektualiści w Los Angeles, jest taki sam, jak język używany przez ich kolegów w Paryżu czy przez innych kolegów w Krakowie”.<sup>15</sup>

Według R. Legutki ta sytuacja jest „niepokojąca”. Weaver idzie dalej w swych stwierdzeniach. Mając na uwadze kontekst amerykański (ale dzisiaj jego słowa mają chyba szersze odniesienie) stwierdza: „Od czasu, gdy liberalizm stał się rodzajem oficjalnej linii partyjnej, zakazano nam mówić cokolwiek o rasach, religiach, narodach, gdyż według tej teorii nie istnieje żadne kategoryczne stwierdzenie, które nie implikowałoby wartościowania, a wartości są przyczyną podziałów między ludźmi. Nie wolno nam definiować, podporządkowywać ani sądzić; musimy raczej pozostawać na peryferiach i okazywać »wrażliwość na przejawy kultury wszystkich krajów i narodów«. Jest to proces postępującej zniewieściaości”.<sup>16</sup>

Weaver chce przez to powiedzieć, że myślenie w kategoriach wartości może być bolesne. Skłania bowiem do hierarchizowania wartości. Co się jednak stanie, jeśli z perspektywy tej hierarchii nasz styl życia – o którym mieliśmy do tej pory jak najlepsze zdanie – uznany zostanie za styl prowadzony jedynie w porządku najniższych wartości? To może zabołec! Bezpieczniej zatem nie wartościować, bo można stać się ofiarą takich zabiegów. Bezpieczniej myśleć tylko w kategoriach nieszkodliwych „faktów”. Tak oto „myśl nieszkodliwą podstawi się na miejsce bolesnej. Ofiara po prostu unika rozpoznania tej rzeczy, która powoduje zranienie. [...] najboleśniejszym wyznaniem dla współczesnego egotysty jest potwierdzenie, że istnieje centrum odpowiedzialności. Ucieka on od niego, kierując się ku najdrobniejszym sprawom.”<sup>17</sup> Właśnie ku „faktom”.

Aplikując powyższe dywagacje do właściwego przedmiotu niniejszych rozważań, zauważmy, że Idol miał rację. To znaczy miał rację twierdząc, iż ludzie lubią „to” robić. To, że lubią jest bowiem faktem (faktem jest również, że lubią z tego powodu, iż „to” sprawia im przyjemność). Ale czy konstatacja miała walory myślenia? O tym za moment.

<sup>15</sup> R. Legutko, *Etyka absolutna i społeczeństwo otwarte*, Wydawnictwo ARCANA, Kraków 1998, s. 8.

<sup>16</sup> R. Weaver, *Idee mają konsekwencje...*, dz. cyt., s. 65.

<sup>17</sup> Tamże, s. 65.

Tymczasem wyjaśniam, skąd przyszło mi do głowy, iż wiedza wielu znawców teorii Darwina ma medialne źródła. Otóż w niektórych wypowiedziach dotyczących darwinizmu pojawiały się pewne formuły mające charakteryzować główne założenia tej teorii. Mam na myśli przede wszystkim stwierdzenia typu: „natura wyposażyla zwierzęta w jakieś cechy po to, żeby...”, „owady przybierają barwę ochronną w celu...” itp. Tymczasem są to formuły, z którymi właśnie darwinizm podjął walkę. Są to bowiem stwierdzenia teleologiczne związane z konkurencyjnym przyrodoznawstwem. Darwinizm to nie lamarkizm, ani tym bardziej arystotelizm! Według teorii Darwina procesy ewolucyjne nie dzieją się „po coś”, ani też w „jakimś celu”. Żyrafa ma długą szyję. To fakt. Ale nie wykształciła jej „w celu” sięgania po wysoko rosnące liście. To stało się zupełnie inaczej. Tak przynajmniej uważał Darwin.

Tymczasem w różnych programach i filmach zwanych przyrodniczymi (również tych emitowanych w „Discovery”) aż roi się od teleologicznych formuł. Pełno w nich także antropomorficznych, wręcz animistycznych odniesień. Krytyczny widz potraktuje je oczywiście jako metafory, pewien sposób mówienia, maniery itp. Widz bezkrytyczny (czytaj: niedouczone) będzie sądził, że są to opisy adekwatne. Dla przeciwnika kreacjonizmu dodatkowo szczególnie ważne jest to, że nie ma w nich mowy o Bogu. Jest za to Natura, która „wyposażyla” jakąś roślinę lub zwierzę w pewne właściwości „w celu...”. Stąd moje przypuszczenie, że dla niektórych osób jedynym źródłem wiedzy o ewolucjonizmie mogły być tego typu programy.

Ale przeciwie nie z tego względu skłonny byłbym zgodzić się z opinią, iż darwinowska teoria pochodzenia człowieka powinna być na cenzurowanym. W istocie nie chodzi mi o jej prawdziwość bądź fałszywość, lecz o skutki. Wydaje się, że tę teorię należałoby reglamentować. Mówiąc brutalnie – nie wszyscy muszą wiedzieć, skąd (wedle tej teorii) pochodzą! Mam bowiem poważne podejrzenia, iż ta wiedza wywołuje w umysłach nieprzygotowanych do jej przyjęcia poważne i społecznie niebezpieczne spustoszenia. Nie chodzi więc o samą teorię, lecz o ludzi, którzy swoiście ją interpretują.

Zdaję sobie sprawę, że brzmi to groźnie, bo „inkwizytorsko” i „średnio-wiecznie”. Toteż spieszę z ujawnieniem źródeł swoich obaw. Odwołuję się przy tym do antropologiczno-filozoficznych rozważań Gernota Böhme. Proponuje on, abyśmy spojrzeli na dzieje ludzkości jak na proces permanentnego separowania się człowieka od świata zwierząt. Jeśli wierzyć teorii ewolucji, to „cała prehistoria ludzka [...] jest powolnym, mozolnym wydobywaniem się ze zwierzęcości”.<sup>18</sup> Ale nas interesuje w szczególności ten etap zachodniej kultury, gdy człowiek już w pełni świadomie podjął konceptualny trud pojęciowego wyznaczenia „właściwych granic” własnego gatunku. Czynił to zasadniczo w dwojaki sposób. Po pierwsze, przez określenie swej istoty w odniesieniu do bóstw (co czynili Grecy upatrując w naszej śmiertelności zasadniczą cechę odróżniającą nas od bogów) lub Boga (jak w chrześcijańskiej dogmatyce głoszącej, iż jesteśmy stworzeni „na Jego obraz i podobieństwo”). Tendencja druga polegała na definiowaniu natury człowieka w odniesie-

<sup>18</sup> G. Böhme, *Antropologia filozoficzna. Ujęcie pragmatyczne*, przeł. P. Domański, Warszawa 1998, s. 205.



niu do zwierząt. Tę tendencję ujawniają – oraz potwierdzają jej historyczną ciągłość – liczne, animalnie zorientowane formuły człowieczeństwa.

To właśnie starożytni Grecy jako pierwsi celowali w próbach zdefiniowania w ten sposób istoty człowieka. Zostawili nam zatem w spadku m.in. przekonania, że człowiek (*anthropos*) to „zwierzę obdarzone rozumem” i zarazem „mową” (*zoon logon echon*), jak też „zwierzę polityczne” (*zoon politikon*) czyli społeczne. Zauważmy od razu, że w takiej konfiguracji określenie „zwierzę” miało przypominać, iż jesteśmy tylko podobni do zwierząt swą formą zewnętrzną, budową ciała i związaną z tym sferą zmysłowości. Ale niech to podobieństwo nas nie myli! W istocie jesteśmy bowiem zupełnie innym gatunkiem – gatunkiem istniejącym „obok”. To co ludzkie, co decyduje o naszej odrębności, związane jest ze sferą *psyche* (duszy) człowieka czyli naszą wielopostaciową racjonalnością, której brak u zwierząt. Konsekwencje takiego samookreślenia są następujące: „Gdy człowiek definiuje się jako [...] coś innego niż zwierzę, to zwierzęcość jest tu czymś negatywnym, niepożądanym, czymś, od czego trzeba się zdystansować [...]”, dlatego „ludzie, ludy i narody w swych dziejach wciąż próbowały to, co im w nich samych nie odpowiadało, wydawało się groźne lub w innych obce – wydzielić, odgraniczyć jako zwierzęce”.<sup>19</sup> Symptomatyczny aspekt takiego stanowiska znajdujemy chociażby w oświeceniowej antropologii Immanuela Kanta, gdzie „samopojmowanie człowieka jako *animal rationale* oznacza moralno-pedagogiczne wezwanie do zdławienia i kontrolowania zwierzęcia w człowieku i do wykształcenia w sobie właściwego człowieczeństwa przez kulturowanie owych racjonalnych zarodków”.<sup>20</sup>

Nie ulega wątpliwości, że powyższy punkt widzenia odcisnął na dziejach Zachodu wyraźne piętno, wręcz zadecydował o jego cywilizacyjnym kształcie. W żadnym kręgu kulturowym nie doszło bowiem do tak radykalnego zerwania więzi między człowiekiem a zwierzęciem. Ale czy nie jest tak, że to właśnie taka postawa dała kulturze Zachodu twórczą siłę, z której jesteśmy tak dumni? Czy Zachód ostatecznie wysunął się na czoło w cywilizacyjnym pochodzie nie w związku z tym, że postawił na racjonalną (a nie na zmysłowo-zwierzęcą) sferę naszej natury?<sup>21</sup> Czyż nie dominuje dziś przekonanie, że wszystko co w ostatnich dwóch wiekach wspaniałe, czerpie swe ożywcze soki z równie wspaniałych i twórczych idei racjonalnego Oświecenia. Czyż nie jest tak, że większość dzisiejszych „oświeconych racjonalistów” (w tym tropiciele „zacofania” i „średniowiecza”) uważa się za spadkobierców

<sup>19</sup> Tamże, s. 204-205.

<sup>20</sup> Tamże, s. 205.

<sup>21</sup> Dwudziestowieczny, oksfordzki filozof (klasyk historii idei) Isaiah Berlin, wyrażał w tym względzie inną opinię. Mając na uwadze zasadniczo powyższy stan rzeczy powiadał, że od czasów antyku zachodnie myślenie o człowieku zdominował pogląd, iż współistnieją w nas dwie „jaźnie”. Jedną z nich, to „jaźń niższa, zmysłowa, zwierzęca”; druga, to „jaźń wyższa, rozumna, *stricte* ludzka”. Zgodnie z tym poglądem owa „jaźń wyższa” winna podporządkować sobie „jaźń niższą” i sprawować nad nią kontrolę w celu umożliwienia rozwoju naszej „rozumnej, prawdziwie ludzkiej natury”. Wedle Berlina jest to pogląd fałszywy, a przede wszystkim niebezpieczny. Może się bowiem zdarzyć, że oto ktoś będzie twierdził, iż ktoś inny nie dorasta do swojej „prawdziwej natury” pozostając we władaniu „niższej jaźni”. Zrodzi się wówczas chęć przymuszenia takiego człowieka do bycia „prawdziwym człowiekiem”. Zdaniem Berlina ta zasada leży u podstaw totalitarnych ideologii i totalitarnej praktyki.

racjonalności Oświecenia? Czyż nie sądzą oni przy tym, że odwołują się do korzeni nowoczesnej pojętej wolności i tolerancji – do idei prawdziwego człowieczeństwa? Wszak to Oświecenie zrodziło hasło „wolności, równości i braterstwa”. No tak, ale zrodziło je z myślą o człowieku, nie o zwierzęciu!

Bo Oświecenie to osobliwa epoka. Böhme przypomina, że ówczesnemu wykuwaniu ideału racjonalności towarzyszyło poczucie ogromnego „zagrożenia ze strony zwierzęcości we wnętrzu człowieka”. Kiedy bowiem w końcu podporządkowaliśmy sobie fizycznie świat zwierząt, gdy przestały być one już dla nas zagrożeniem i konkurentem w walce o przetrwanie, wówczas zaczęliśmy doświadczać niebezpieczeństwa „zwierzęcości tkwiącej wewnątrz człowieka”. W epoce Oświecenia to zagrożenie „osiąga status charakterystyki antropologicznej. Niemoralność, zaniedbanie, obłęd – to powrót do zwierzęcości. Ludzi, którzy temu ulegli traktowano zatem jak zwierzęta. Wszystko, co spontaniczne, wszelkie popędy, wszelką nie-jaźń w człowieku klasyfikowano jako zwierzęcość. Toteż ucłowieczenie można było pojmować tylko jako panowanie i kontrolę nad zwierzęcością”.<sup>22</sup>

Zaprawdę, nie jest łatwo sprostac tak pojętemu ideałowi bycia człowiekiem. Wymaga on bowiem od nas „wysokiego stopnia samokontroli”, domaga się autorepresyjnego „panowania nad pewnymi obszarami siebie samego”.<sup>23</sup> Nie jest łatwo być człowiekiem według standardu żądającego separowania się od wewnętrznej zwierzęcości. Nie jest łatwe zwłaszcza w dzisiejszej liberalnej, „rozkarnawalizowanej” (jak ją nazywa Gianni Vattimo) czy „narcystycznej” (według określenia Christophera Lascha) kulturze. Bo też nie jest ona kulturą hołdującą temu wzorcowi. Wręcz przeciwnie, jej osobliwa racjonalność posługuje się wprowadzeniem pojęciem człowieczeństwa, lecz ma trudności z jego pozytywnym zdefiniowaniem. Samemu człowiekowi (cokolwiek pojęcie to dzisiaj oznacza) jest skłonna przyklasnąć prawie we wszystkich możliwych jego „chceniach”. Wystarczy, aby tym „chceniom” towarzyszyły magiczne słowa: wolność i tolerancja.

Wbrew pozorom współczesne wyobrażenia dotyczące człowieka jako człowieka niewiele mają wspólnego z oświeceniową ideą uniwersalnej rozumności ludzkiej, w której upatrywano *eidos* i kryterium człowieczeństwa. Kultura współczesna żywi się raczej przeświadczeniem, że nic takiego nie istnieje. W ogóle promowane jest przekonanie, że myśl o istnieniu jakiejś obiektywnej prawdy na temat ludzkiej kondycji należy do tych złudzeń przeszłości, z którymi wreszcie udało się nam uporać. Dość powszechny jest przecież pogląd, że powrót do idei Absolutu, do idei obiektywności wartości (np. obiektywności prawdy, dobra, piękna czy sprawiedliwości) byłby cywilizacyjnym krokiem wstecz wobec „oczywistości” subiektywizmu, relatywizmu i multikulturalizmu, a zwłaszcza krokiem wstecz wobec „oczywistego” prawa każdego człowieka do nieskrępowanej „autokreacji”. Ta zaś możliwa jest tylko w warunkach wolności. Wolność zaś pojmowana jest behawioralnie – jako możliwość działania (a raczej zachowywania się) nie krępowanego

<sup>22</sup> G. Böhme, *Antropologia filozoficzna...*, dz. cyt., s. 208.

<sup>23</sup> Tamże, s. 209.

przez żadną obiektywność, absolutność czy uniwersalność. Wolny człowiek bowiem to ten, który sam wybiera to, co chce i postępuje tak, jak sam chce.

Niestety przy takim podejściu wolność często pojmowana jest jako wartość sama w sobie. Aby jej zadośćuczynić, aby podkreślić swoją wolność i gotowość do autokreacji człowiek nierzadko dokonuje wyborów byle jakich. Nawet takich, które ostatecznie prowadzą do zwierzęcego stylu życia. Oczywiście rozpoznanie, iż chodzi o sposób życia raczej poniżający niż uwznioślający, możliwe jest tylko w warunkach, gdy istnieje perspektywa umożliwiająca taki ogląd. Do pewnego czasu możliwością tę stwarzała tradycja „separacji”.

Tymczasem współczesne samowyoobrażenia człowieka są raczej proweniencji darwinowskiej, a także schopenhauerowskiej, nietzscheańskiej i freudowskiej. Te trzy ostatnie filozofie też zresztą były swoistymi dziećmi darwinizmu. Każda z nich, na swój sposób, rehabilitowała drzemającą w nas zwierzęcość podnosząc ją rangi determinantów, którym – czy chcemy, czy nie – ostatecznie ulegamy: oto rządzą nami „instynkty” i „popędy”, jakaś „wola” i jakiś „charakter”, nad którymi nie panujemy. Dziś pojęcia te zostały skonkretyzowane. Dzięki genetyce i socjobiologii dowiadujemy się, że jesteśmy we władzy genów (ba, nawet „samolubnych genów”), zaś memetyka powiada, iż może chodzić o memy. Wiemy też, że miłość to „feromony”. Zapewne sfera pozostałych uczuć (gniew, nienawiść, podziw, radość, smutek itp.) to również „chemia”. Kartezjański człowiek został całościowo zredukowany do *res extensa*, której zasadniczo chodzi o kolejny „zastrzyk adrenaliny”.

Przecież właśnie takimi (i podobnymi im) określeniami dominujący w dzisiejszej kulturze masowej fizykalistyczno-redukcyjny (podszyty animalnością) język opisuje subtelną sferę rozumu, woli i namiętności ludzkich. Smutne to i niebezpieczne. Ale przestrogi, że tego typu myślenie przy okazji prowadzi do zakwestionowania odwiecznej idei wolnej woli człowieka, raczej nie przeraża zwolenników „autokreacji”. Większość nie czuje z tego powodu niepokoju, albowiem nowoczesno-liberalne „ja chcę” nie musi się kłopotać pytaniem o jakość wyborów – nie pyta czy zadośćuczynić swym zwierzęcym czy ludzkim chceniom. Problem zostaje bowiem rozwiązany następująco: wszystkie moje chcenia są ludzkie, ponieważ są zwierzęce; ostatecznie jesteśmy tylko braćmi zwierząt. Genetycznie przecież się od nich zbytnio nie różnimy. No i mamy kość ogonową. To dlatego owo „żyję, jak sam chcę” bardzo często kończy się płaskim hedonizmem, gdzie pojęcie szczęścia zredukowane zostaje do „zastrzyku adrenaliny” i pogoni za następnym. Niestety taki wizerunek szczęścia promuje masowa kultura, a szczęśliwi z tego tytułu medialni idole wmawiają nam, iż jest to szczyt ludzkich marzeń i możliwości.

Jednym z ostatnich bastionów, w którym ostał się wizerunek człowieka jako absolutnego niewierzenia jest chrześcijańska koncepcja osoby ludzkiej wspierana ideą *homo imago Dei*. Tę zaś legitymizuje teoria kreacjonistyczna. I tu, jak sądzę, leży powód, dla którego przypomnienie jej przez pana Giertycha sprowadziło na jego głowę takie gromy. Heroicznym obrońcom darwinizmu wcale nie chodziło o obronę prawdy przed „wstecnictwem”, lecz o obronę swego dobrego samopoczucia. Mogłoby ono zostać zranione w bolesnej konieczności skonfrontowania własnego

stylu życia (i osobistych wyobrażeń na temat zasad rządzonych światem spraw ludzkich) z modelem życia godnym człowieka jako „podobnego Bogu”. Owo podobieństwo zaś to bycie osobą czyli bytem rozumnym, posiadającym wolną wolę oraz zdolność odróżniania dobra od zła.

Wizerunek człowieka jako osoby implikuje stwierdzenia, że życie nie jest ani „grą”, ani „walką o przetrwanie”, w której „można i trzeba robić wszystko aby przeżyć”; że związki międzyludzkie (w szczególności biznes) nie są „dżunglą”, w której przeżywa tylko najsilniejszy i najlepiej przystosowany; że „człowiek człowiekowi nie jest wilkiem”; że w życiu nie chodzi tylko „o wygraną”, ani „o bogacenie się”; że niekoniecznie trzeba zawsze „ciągnąć w swoją stronę”; że to nie „pieniądz rządzi światem”; że nieprawdą jest, iż „nie ma ludzi niezastąpionych”; że wartości hedoniczne leżą na dole drabiny wartości, nie zaś na jej szczycie itp.

Zaakceptowanie tych prawd musiałyby zostać poprzedzone rewizją dominującego dziś światopoglądu zbudowanego na dokładnej ich odwrotności; światopoglądu, który – śmiem twierdzić – wyznaje większość tropicieli „średniowiecza” i kreacjonistycznych „przesądów”. Ta rewizja wiązałaby się z bólem myślenia, wysiłkiem woli i chęcią odróżniania dobra od zła. Ciężka sprawa. Zamiast więc wysilać się, łatwiej obśmiać rzecz całą pod pozorem walki ze „średniowieczem” oraz w imię „tolerancji”. Tolerancja ma się zaś zasadzać na przekonaniu, że nie istnieją żadne obiektywne podstawy takiego rozróżniania. Co więcej, każdy kto takiego rozróżnienia dokonuje jest oskarżany przez „obrońców tolerancji”, iż wyznaje manichejską ideologię grożącą tym oto, że zaraz znacznie dzielić ludzi na lepszych i gorszych, swoich i obcych itp., gdy tymczasem „jesteśmy równi”.

Otóż wcale nie jesteśmy równi! Sądzę nawet, że myślenie w perspektywie „zasady równości” właśnie sprzyja nietolerancji. Słusznie bowiem twierdzi Weaver: „Ponieważ wszystkich upewniono, że »są równie dobrzy, jak inni«, bardzo prawdopodobne, iż wszyscy będą podejrzewali, że otrzymali mniej, niż na to zasługują”.<sup>24</sup> Będzie trawić ich, jak powiadał Szekspir, „gorączka zazdrości”.

Wszystko się zgadza. Festiwal takiej zazdrości dali wszyscy ci ignoranci i aroganci, którzy uznali się za równie kompetentnych, aby zabrać publicznie i bez żenady głos w debacie na temat darwinizmu i kreacjonizmu (przy okazji wykazać się wiedzą o średniowieczu i czarownicach, podzielić się jakże głębokimi sądami na temat racjonalności, zdrowego rozsądku, tolerancji, wolności, ludzkiej natury itp.).

Tragizm tej sytuacji polega na tym, że przez tego typu dyskutantów wyśmiana została teoria, która jest realną podstawą budowania postaw i zachowań tolerancyjnych, gdyż każe dostrzegać człowieka w człowieku niezależnie od miejsca, czasu i wyglądu. Obawiam się, że – wbrew deklaracjom – podstawy takiej brakuje właśnie bezkrytycznym obrońcom darwinizmu. Może im bowiem zabraknąć wyobraźni antropologicznej tak, jak zabrakło jej samemu Darwinowi. Jemu to bowiem zdarzyło się nie rozpoznać człowieka w człowieku, gdy podczas jednej ze swych

---

<sup>24</sup> R. Weaver, *Idee mają konsekwencje...*, dz. cyt., s. 49.

wypraw ujrzał w napotkanych Indianach „bełkocące” stwory, jakiś rodzaj „dzikich bestii” o „zmięzwionych kudłach” i „toczących pianę z pyska” itp.<sup>25</sup>

G. Böhme wyraża opinię, iż nie ma dziś żadnych naukowych podstaw, aby podtrzymać twardą opcję separowania człowieka od zwierzęcia. Wszystkie bowiem cechy, o których sądziliśmy, że wyznaczają istotnościową granicę ludzkiego gatunku, zostały zaobserwowane także wśród zwierząt. Nie są więc nimi ani inteligencja, ani mowa, ani używanie narzędzi, ani tworzenie życia państwowego. Oto „małpy używają kijów do sięgania po banany, istnieje ptak posługujący się cierniami do polowania na małe zwierzęta”, oto „bobry obalają drzewa i budują tamy, żeby spiętrzyć wodę, czyli »instrumentalizują« cały biotop, żeby go przekształcić w dogodny obszar życiowy; istnieją „państwa” pszczół, mrówek czy termitów. „Mało kto zakłada dziś, że tylko ludzie posiadają język. Odkryto już bowiem bardzo bogate systemy komunikacji i sygnałów u różnych gatunków zwierząt, na przykład u pszczół i delfinów”.<sup>26</sup> Właśnie język delfinów, także małp czy nawet psów zaświadcza – zdaniem Böhme – że niektóre zwierzęta są zdolne do kojarzenia symboli, a więc posiadają inteligencję.

Wszystko to prawda. A właściwie o tyle jest prawdą, o ile jest interpretacją – o ile wykażemy (my ludzie, nie zwierzęta) na tyle dobrą wolę, aby wszystkie te cechy i zachowania zwierząt zinterpretować jako właściwości zasadniczo ludzkie. To nie są „fakty”! To są nasze interpretacje! Jak dalece są one interpretacjami opartymi na chęci zbliżenia dwóch światów (zwierzęcego i ludzkiego) dokładnie widać w momencie, gdy Böhme nie odróżnia języka (w istocie głosu) od mowy. Tymczasem genialny Grek, Arystoteles już prawie dwa i pół tysiąca lat uczulał na konieczność czynienia takiej dystynkcji pisząc w pierwszej księdze *Polityki*: „Że człowiek jest istotą stworzoną do życia w państwie więcej niż pszczoła lub jakiegokolwiek zwierzę żyjące w stadzie, to jasną jest rzeczą. Natura bowiem, jak powiadamy, nic nie czyni bez celu. Otóż człowiek jedyny z istot żyjących obdarzony jest mową. Głos jest oznaką radości i bólu, dlatego posiadają go i inne istoty (rozwój ich posunął się bowiem tak daleko, że mają zdolność odczuwania bólu i radości, tudzież wyrażania tego między sobą). Ale mowa służy do określania tego, co pożyteczne czy szkodliwe, jak również i tego, co sprawiedliwe czy też niesprawiedliwe. To bowiem jest właściwością człowieka odróżniającą go od innych stworzeń żyjących, że on jedyny ma zdolność rozróżniania dobra i zła, sprawiedliwości i niesprawiedliwości i tym podobnych; wspólnota zaś takich istot staje się podstawą rodziny i państwa.”<sup>27</sup>

Otóż to!!!. Jeśli ktoś kiedyś będzie świadkiem aksjologiczno-etyczno-politycznego dyskursu między zwierzętami, to proszę mnie o tym poinformować. Wtedy zrewiduję swoje poglądy. Tymczasem śmiem twierdzić, iż informacja o tym, że „ludzie lubią się bzykać” nie była wyrazem zdolności posługiwania się ani mową, ani nawet językiem. Była natomiast dowodem posiadania głosu, a więc – po-

<sup>25</sup> Patrz A. Mencwel, *Wstęp: wyobraźnia antropologiczna*, [w] *Antropologia kultury. Zagadnienia i wybór tekstów*, oprac. S. Godlewski [i in.], Warszawa 1995.

<sup>26</sup> G. Böhme, *Antropologia filozoficzna...*, dz. cyt., s. 209-210.

<sup>27</sup> Arystoteles, *Polityka z dodaniem pseudo-Arystotelesowej Ekonomiki*, przeł. i przypisami opatrzył L. Piotrowicz, wstępem poprzedził K. Grzybowski, Warszawa 1964, s. 7.

średnio – zaświadczała, iż autor tego genialnego spostrzeżenia bez wątpienia osiągnął ten poziom rozwoju, o którym wspomina Arystoteles.

Jeśli ktoś poczuł się urażony tym, co przed chwilą lub nieco wcześniej stwierdziłem, to przepraszam. Ale po pierwsze, moje stwierdzenie nie charakteru mówienia o „fakcie”. To nie jest „fakt”, to tylko interpretacja, więc nie ma się czym przejmować. Po drugie, to nie ja zacząłem. Zostałem zaczepiony, więc grzecznie odpowiadam.

Osobników zaś, którzy lgną do teorii Darwina sądząc, że legitymizuje ona a nawet uwzniośla ich animalne skłonności pragnę tylko przestrzec słowami purytańskiej etyki: jeśli wyglądasz jak zwierzę, myślisz jak zwierzę, czujesz jak zwierzę i zachowujesz się jak zwierzę, to nie dziw się, że możesz być potraktowany jak zwierzę. Zaręczam, że z mej strony nic takiego nikomu nie grozi. Wydaje mi się bowiem, że – w przeciwieństwie do Darwina (i darwinistów) – dysponuję antropologiczną wyobraźnią. Bliższa mi jest w tym względzie postawa Jeana-Jacquesa Rousseau. To właśnie wyobraźnia antropologiczna kazała mu założyć, że opis dziwnych stworzeń określanych mianem Pongo zamieszkujących odległą krainę, przypominających z wyglądu i zachowania ludzi, dotyczy jednak ludzi a nie zwierząt, które tylko ludzi przypominają. Wyobraźnia antropologiczna zakłada bowiem, że lepiej czasem popełnić metodologiczny błąd, biorąc zwierzę za człowieka, niż tragiczną w skutkach pomyłkę, biorąc człowieka za zwierzę.

## Summary

**What is wrong with Darwin's theory? On benefit following from a certain debate or contribution to the idea of critical thinking (including the necessity of distinguishing between human being and animal) or terminally about so called anthropological imagination**

An article can be divided into two parts. One of them is an attack on too journalistic style of debate caused by a "famous" statement by Maciej Giertych on the subject of legitimacy of teaching about the theory of evolution at school. In this regard, the author warns against hasty and run by emotion rejection of creationist ideas in the name of so called "political correctness". The author proves, in another part of the article, that Darwinism as a theory with strong ideological tingle (of outlook) is the theory, at least, dangerous if not harmful. Defending the absolutism of values the author states that such theory contradicts borrowed, at least, from the Christian religion doctrine of superiority of human being over the world of animals, what is more, in the same way it threatens hallowed by philosophical tradition anthropological reasons of building the concept of human nature around the category of rationalism and freedom.

## Резюме

**Что такое теория Дарвина? О пользе одних дебат или дополнение к идее критического мышления (также о том, что человека необходимо отличать от животного) то есть окончательно о так называемом антопологическом представлении.**

Статью можно разделить на две части. Первая нападает на слишком публицистический стиль прений, вызванных «известным» высказыванием Мацея Гертыха на тему обоснованности преподавания теории эволюции в школах. Автор предостерегает перед неосмотрительным и эмоциональным отверганием идей креационизма во имя «политической корректности». Во второй автор доказывает, что дарвинизм будучи теорией с сильным идеологическим (мировоззренческим) оттенком является как минимум опасной, чтобы не сказать прямо – вредной. Защищая абсолютность ценностей, автор утверждает, что такая теория не соответствует выступающей в качестве посредника, хотя бы в христианской религии, доктрине превосходства человека над животным миром, более того, таким образом угрожает освященным философской традицией антропологическим предпосылкам создания концепции человеческой природы вокруг категории рациональности и свободы.

